

POLSKIE TOWARZYSTWO ORIENTALISTYCZNE

PRZEGLĄD ORIENTALISTYCZNY

Kwartalnik



Nr 1(13)

WARSZAWA

1955

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

S P I S T R E Ś C I

ARTYKUŁY I UTWORY LITERACKIE

Witold Jabłoński, <i>V rocznica proklamowania Chińskiej Republiki Ludowej</i>	3
Łukasz Hirszowicz, <i>Tło zamachu stanu w Iranie w sierpniu 1953 r. (I)</i>	10
*	
Ananiasz Zajączkowski, <i>Na Międzynarodowym Kongresie Orientalistów w Cambridge</i>	26
Witold Jabłoński, <i>XXIII Międzynarodowy Kongres Orientalistów w Cambridge</i>	37
Stefan Strelcyn, <i>Na marginesie XIII Zjazdu Orientalistów Polskich</i>	43
*	
Amen-aa, <i>Rozbitek</i> (przełożył z egipskiego Tadeusz Andrzejewski)	58
Mencjusz, <i>Fragmenty z dzieła „Meng-tsy“</i> (przełożył z chińskiego Aleksy Dębnicki)	63
Yamanoe-no omi Okura, <i>Dialog o nędzy</i> (przełożył z japońskiego Wiesław Kotański)	69
Szems-ed-Din Hafiz Szirazi, <i>Gazele</i> (przełożył z perskiego Ananiasz Zajączkowski)	73
Ömer Seyfettin, <i>Zakęcie</i> (przełożyła z tureckiego Stanisława Płaskowicka-Rymkiewicz)	77
Kuo Mo-żo, <i>Tukiafu</i> (przełożyła z chińskiego Halina Smisniewicz-Andrzejewska)	83

Z PRACOWNI REKOPISÓW ORIENTALNYCH

Franciszek Kupfer, <i>Dokument hebrajski dotyczący stosunków kościelnych w XVII wieku.</i>	95
--	----

MATERIAŁY I NOTATKI

Aleksy Dębnicki, <i>Wieczór literatury chińskiej</i>	100
B. Majewska, <i>Nowe polonica irańskie</i>	104

*

O współczesnej literaturze Wschodu:	
A. D., <i>O nowej literaturze arabskiej</i>	105
E. M., <i>O zagadnieniach nowoczesnej literatury perskiej</i>	108

RECENZJE

Jan Reychman, <i>N. A. Smirnow, Oczerki izuczenija islama w SSSR.</i>	109
Stanisław Kałużyński, <i>S. P. Tołstow, Śladami cywilizacji Starożytnego Chorezmu</i>	112
Witold Jabłoński, <i>Jarosław Průšek, Literatura osvobožené Činy a jej lidové tradice</i>	114
Stanisław Kałużyński, <i>S. E. Małow, Ujgurskij jazyk</i>	118
<i>P. P. Iwanow, Chozjajstwo Dżujbarskich szejchow</i>	118
<i>Rasskazy tureckich pisatielej</i>	119
Włodzimierz Zajączkowski, <i>I. J. Kraczkowski, Morskaja geografia w XV—XVI wiekach u arabow i turok</i>	119
<i>Tursko-bołgarskij recznik</i>	120
Stanisława Płaskowicka, <i>N. Lwow, Kirgizskij tieatr. Oczerk istorii</i>	121
Franciszek Machalski, <i>M. A. Macciocchi, Iran walczy</i>	125

R O Z B I T E K

Rozbitek dochował się do naszych czasów w jednym tylko egzemplarzu, na papirusie nr 1115 z czasów XII dynastii, znajdującym się w leningradzkim Ermitażu. Znany nam fragment stanowi — jak można przypuszczać — ostatnie ogniwo większego cyklu opowiadań. Akcja *Rozbitka* rozpoczyna się w chwili, gdy nieznany nam z imienia wielmoża egipski powraca na dwór królewski z wyprawy do Nubii. Wyprawa, jak się domyślamy, nie wypadła pomyślnie i dostojnik jest poważnie zaniepokojony perspektywą rozmowy z monarchą. Jeden z jego podkomendnych, noszący wysoki tytuł dworski *towarzysza*, usiłuje rozproszyć obawy swego przełożonego i przekonać go o tym, że nie musi lękać się spotkania z królem.

T. A.

Znakomity towarzysz tak się odezwał:

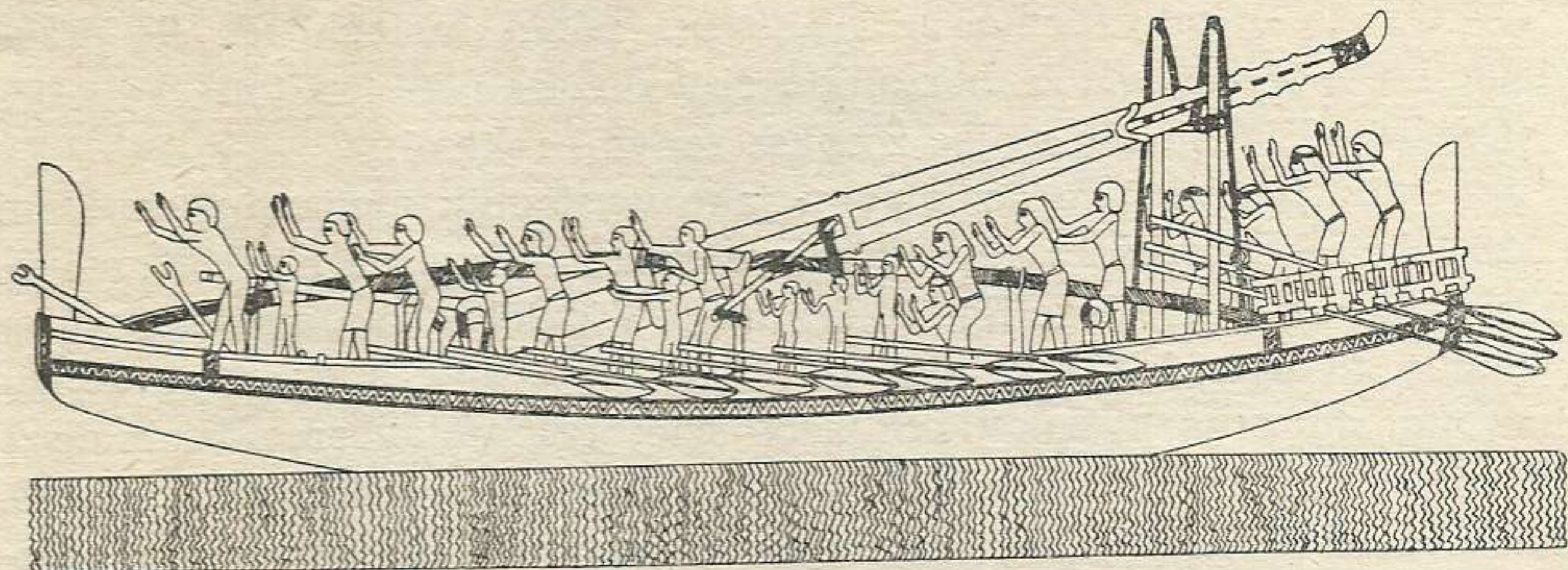
— Uspokój się, książę; oto wróciliśmy do kraju — bijak już wzięto, pal już wbito i cumę dziobową zarzucono na ląd. Już składają pochwały i dziękczynienia bogu i obejmują się wszyscy nawzajem. Cało powróciła nasza wyprawa i w wojsku naszym nie ma strat; a przecie dotarliśmy aż do krańców kraju Wawat i przepłynęliśmy koło Senmut¹. Otośmy więc powrócili w spokoju. Nasza ojczyzna! Dopłynęliśmy.

— Słuchaj mnie, książę, bo obca mi jest przesada: obmyj się, polej sobie palce wodą, abyś mógł odpowiadać, gdy się zwrócą do ciebie. Przemawiaj do króla panując nad sobą, odpowiadaj bez zająknienia, usta bowiem mogą człowieka obronić, a słowa mogą sprawić, że się nań patrzy przez palce... Rób zresztą po swojemu — rozmowa z tobą to męka.

— Opowiem ci o czymś podobnym, co się mnie samemu zdarzyło, gdy udawałem się do kopalni monarchy² i wsiadłem na statek o 120 łokciach długości i 40 łokciach szerokości; było na nim 120 marynarzy wybranych z całego Egiptu, bo czy to widzieli niebo, czy też widzieli ziemię, serca ich były śmielsze niżli serca lwów: przewidywali wichur, nim się zerwie, i burzę, nim nadejdzie.

¹ Kraj Wawat obejmował obszary położone między Morzem Czerwonym a Nilem, pomiędzy I kataraktą a Wadi Korosko; przez „krańce kraju Wawat“ należy tu rozumieć jego granicę południową nad Nilem. Senmut to jedna z wysp I katarakty; żegluga tam była bardzo trudna z uwagi na szybki prąd Nilu, wiry i skały.

² Mowa tu o synajskich kopalniach miedzi, intensywnie eksploatowanych w dobie Starego i Średniego Państwa. Wyruszano tam znad Nilu, z okolic współczesnego miasta Kena w Górnym Egipcie przez pustynię na wybrzeże Morza Czerwonego w pobliże współczesnego Koseir, stamtąd zaś drogą morską na północ od wybrzeży półwyspu Synaj.



Wicher zerwał się, gdy byliśmy na morzu, zanim dobiliśmy do lądu. Żeglowaliśmy dalej, lecz burza wzrosła w dwójnasób, wzdymając falę wysoką na osiem łokci — belka spłaszczyła ją. Tymczasem statek zatonął, a z tych, co byli na nim — z nich nie ocalał nikt. Mnie tylko fala morska wyrzuciła na wyspę.

Przeżyłem trzy dni samotny, mając tylko serce swoje za towarzysza: ułożony w kryjówce pod drzewem tuliłem cień. Wreszcie ruszyłem w poszukiwaniu czegoś, co mógłbym włożyć do ust. Znalazłem figi i winogrona, wszelakie wyborne jarzyny, karbowane i gładkie owoce sykomory, ogórki jakby z ogrodu, były tam też ryby i ptaki i nie ma takiej rzeczy, której by tam nie było. Najadłem się do syta, a resztę rzuciłem na ziemię, bo było dla mnie za dużo. Następnie sporządziłem sobie krzesiwo z kawałka drzewa, rozpałem ogień i złożyłem bogom ofiarę całopalną.

Wtem usłyszałem grzmiący odgłos; zdawało mi się, że to morska fala. Drzewa zatrzeszczały, a ziemia zatrzęsła się. Gdy odsłoniłem twarz, okazało się, że to wąż się zbliżał. Mierzył on 30 łokci, jego broda liczyła więcej niż dwa łokcie, ciało miał pokryte złotem, a brwi jego były z prawdziwego lapis lazuli.

Wygiął się do przodu, otworzył do mnie paszczę, a ja leżałem przed nim na brzuchu. Rzekł do mnie:

— Co cię tu przywiodło, co cię tu przywiodło, maleńki, co cię tu przywiodło? Jeśli będziesz zwlekał z odpowiedzią, co cię przywiodło na tę wyspę, sprawię, że ujrzysz siebie obróconego w popiół — zamienionego w coś, czego nie można zobaczyć.

— Mówisz do mnie — odezwałem się — a ja nie słyszę, leżę przed tobą i niczego już nie rozumiem.

— Wtedy wziął mnie w paszczę i zaniósł do swego legowiska. Ułożył mnie, nie uczyniwszy żadnej szkody: byłem nietknięty i w niczym nie ucierpiałem. Otworzył do mnie paszczę, a ja leżałem przed nim na brzuchu. Rzekł do mnie:

— Co cię tu przywiodło, co cię tu przywidło, maleńki, co cię przywiodło na tę wyspę wśród morza, której wybrzeża obmywa toń?

Odpowiedziałem mu stojąc z opuszczonymi rękami:

— Otóż, ja jechałem do kopalni jako wysłannik monarchy statkiem o 120 łokciach długości i 40 łokciach szerokości; było na nim 120 marynarzy wybranych z całego Egiptu, bo czy to widzieli niebo, czy też widzieli ziemię, to serca ich były śmielsze niżli serca lwów. Przewidywali wicher, nim się zerwie, i burzę, nim nadejdzie; jeden miał serce dzielniejsze i ramię mocniejsze niż drugi i nie było wśród nich niedoświadczonego. Wicher zerwał się, gdy byliśmy na morzu, zanim dobiliśmy do lądu. Żeglłowaliśmy dalej, lecz burza wzrosła w dwójnasób, wzdymając falę wysoką na osiem łokci — belka padając spłaszczyła ją. Tymczasem statek zatonął, a z tych co byli na nim — z nich nie ocalał nikt prócz mnie i oto jestem u ciebie — fala morska przyniosła mnie na tę wyspę.

Rzekł do mnie:

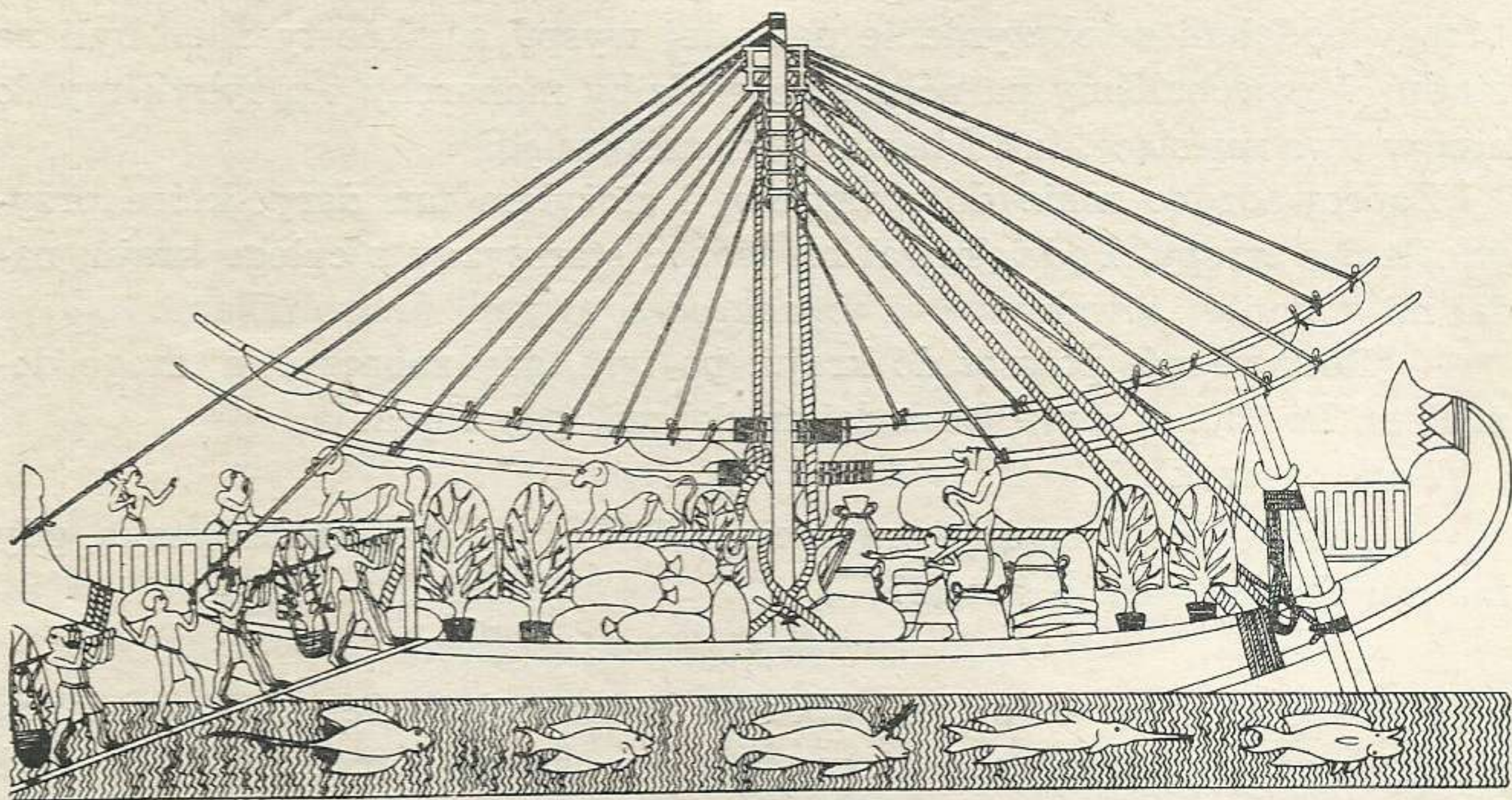
— Nie bój się, nie bój się, maleńki; nie chmurz twarzy teraz, gdyś do mnie przybył. Żeś żywy, to bóg dał, skoro cię zawiódł na tę wyspę czarowaną, gdzie nie ma takiej rzeczy, której by na niej nie było, gdzie pełno wszelakiego dobra. Oto będzie mijał miesiąc za miesiącem, aż wypełnią się cztery miesiące pobytu na tej wyspie. Potem statek przybędzie z ojczyzny, a na nim marynarze, których znasz, i odpłyniesz z nimi do ojczyzny. Umrzesz w mieście rodzinnym.

— Jak radośnie temu, kto opowiada, czego doświadczył, gdy już minęły okropne wypadki. Opowiem ci więc o czymś podobnym, co się zdarzyło na tej wyspie, gdy tu jeszcze mieszkałem z swoimi braćmi, wśród których znajdowały się też dzieci. Było nas razem 75 wężów: dzieci moich i braci moich. Nie wspomnę ci o małej córeczce, która była mi dana dzięki modlitwie. Otóż pewnego razu spadła gwiazda, a oni zapalili się od niej. Zdarzyło się to w mojej nieobecności. Spłonęli, a mnie nie było wśród nich. Umierałem potem z rozpaczy po nich, gdy odnalazłem ich już jako stos trupów.

— Jeśli jesteś silny, miej mężne serce: przytulisz jeszcze swe dzieci, żonę ucałujesz i ujrzyć dom swój, a to jest piękniejsze niż wszystko. Powrócisz do ojczyzny i będziesz w niej mieszkać pośród braci.

Wtedy rozciągnięty na brzuchu dotknąłem czołem ziemi przed nim i powiedziałem:

— Opowiem monarsze o twojej mocy, sprawię, że dowie się o twej wielkości, sprawię, że pośle ci pachnidła *ibi*, *hekenew*, *iwdeneb*, *chesajet* oraz kadzidło ze świątyń, z którego wszyscy bogowie się cieszą. Opowiem też, co się mi zdarzyło i co widziałem dzięki twej mocy. W stolicy wysławiany będziesz w obliczu starszyny z całego kraju. Zarżnę byki na ofia-



rę całopalną dla ciebie i zabiję ptaki. Sprawię, że wyślą tobie statki ze wszystkimi wspaniałościami egipskimi, jak się to zwykło czynić bogu, który ludzi miłuje w kraju dalekim, o którym ludzie nie wiedzą.

Roześmiał się ze mnie, z tego, co powiedziałem, bo uważał to za nierozumne i rzekł mi:

— Ty nie masz wiele olibanu, lecz urodziłeś się panem wonnych żywic, ja zaś, który jestem władcą Puntu, mam oliban, a co do pachnideł *hekenew*, o których mówiłeś, że je dostarczysz, to najwięcej ich jest właśnie na tej wyspie. Zresztą, gdy opuścisz te okolice, to nigdy już więcej nie ujrzysz tej wyspy — przemieni się w morską toń.

*

I przybył statek, tak jak przepowiedział. Poszedłem więc, wspiałem się na drzewo i poznałem załogę. Poszedłem potem, by mu to oznajmić, lecz przekonałem się, że już wiedział o tym. Rzekł tylko:

— Bądź zdrow, bądź zdrow, maleńki. W drogę, do domu, oglądaj dzieci swoje i spraw, aby imię moje było dobre w twym mieście rodzinnym. To wszystko, czego żądam od ciebie.

Upadłem na brzuch i wyciągnąłem ręce. On zaś dał mi ładunek olibanu, *hekenew*, *iwdeneb*, *chesajet*, *tiszepes*, *szaasech*, antymonu, żyrafich ogonów, wielki stos wonnej żywicy, kły słoniowe, psy myśliwskie, koczokodany, pawiany i różne inne rzeczy piękne i wspaniałe. Załadowałem to wszystko na statek i potem, gdy znów upadłem na brzuch, żeby mu podziękować, powiedział do mnie:

— Oto przyjedziesz do ojczyzny po dwóch miesiącach, przytulisz swoje dzieci, odmłodniejesz w ojczyźnie i tam będziesz pogrzebany.

Następnie zszedłem na brzeg do statku i zawołałem marynarzy: na

brzegu oddałem dziękczynienie panu tej wyspy a także tym, co byli na statku. I pojechaliśmy na północ do siedziby monarchy i przybyliśmy do niej w dwa miesiące, tak właśnie jak przepowiadał.

Zaprowadzono mnie do monarchy i złożyłem mu dary, które przywiozłem z wyspy. Podziękował mi wobec starszyny z całego kraju, nadał mi godność „towarzysza“ i wynagrodził swoimi niewolnikami.

— Rozważ mój powrót do kraju: po tym, gdy zobaczyłem, czego doznałem. Posłuchaj mnie, bo ludziom dobrze, gdy słuchają.

Lecz on rzekł:

— Nie bądź taki mądry, przyjacielu. Któż to o brzasku poi ptaka, gdy ma mu skrócić kark o świcie?

*

Oto dopełniło się — od początku do końca, jak znaleziono w pismach pisarza o zręcznych palcach A m e n - a a syna A m e n e j, oby żył w szczęściu i zdrowiu.

Opowieści o rozbiciach statków, cudownych ocaleniach i nadzwyczajnych przygodach na tajemniczych wyspach i lądach spotkać możemy u wszystkich ludów, którym nieobce były morskie wyprawy. *Odysseję* jednak i *Tysiąc i jedną noc* wyprzedza utwór napisany przez Amen-aa (imię jego znajdujemy w kolofonie) na początku rządów XII dyn. tj. w pierwszej połowie 20 wieku p.n.e. Sądząc z dochowanej części manuskryptu Amen-aa był autorem jakiegoś większego cyklu, który Max Pieper — egiptolog literaturoznawca — nazwał „opowiadaniem pudełkowym”: największym pudełkiem jest rozmowa księcia z towarzyszem, drugie — mniejsze — to właściwa opowieść rozbitka, w której wmontowana jest trzecia z kolei, najkrótsza opowiadka — dzieje zagłady węży — będąca trzecim najmniejszym pudełeczkiem.

Poszczególne ogniwa tego cyklu były — jak się zdaje — powiązane w sposób podobny do opowiadań papyrusu Westcar, tylko bez porównania zręczniej.

Warto w tym miejscu zwrócić uwagę na to, że historia katastrofy na morzu i przygód na wyspie wypada bardziej blado i sztywno niż wprowadzenie i zakończenie opowieści. Szczególnie efektowna jest pointa utworu, zawarta w ostatniej wypowiedzi dowódcy nieudanej wyprawy i ona właśnie najlepiej ukazuje nam mistrzostwo pisarza Amen-aa. Pozostałe partie utworu zwracają na siebie uwagę bogatym słownictwem i wyrobionym stylem, które każą nam widzieć w Amen-aa pisarza nie tylko znającego gruntownie ojczysty język i rodzimą kulturę, lecz również doskonale władającego techniką pisarską, choć tu i ówdzie znajdujemy zwroty właściwe bardziej może językowi potocznemu owych czasów, niż literackiemu — klasycznemu.

Można by się jednak zapytać, czy owe zwroty (nieprzetłumaczalne na język polski), nagromadzone w końcowych partiach opowiadania rozbitka, nie były użyte świadomie dla uzyskania większej potoczności narracji. Jeśli hipoteza ta jest prawdziwa, wówczas będziemy mogli śmiało zaliczyć pisarza Amen-aa w poczet twórców egipskiej literatury klasycznej.

Przełożył z egipskiego
Tadeusz Andrzejewski

MENCJUSZ

FRAGMENTY Z DZIEŁA „MENG-TSY”*

Król Süan z Ts’i zapytał Mencjusza: Czy park króla Wen istotnie miał siedemdziesiąt li¹ powierzchni?

Mencjusz rzekł: Tradycja tak podaje.

Król zdziwił się: Był aż tak duży.

Mencjusz odpowiedział: A lud pomimo to nie uważał, że jest za duży.

Król: Mój park ma czterdzieści li, a lud uważa, że jest za duży.

Mencjusz odparł: Ogród króla Wen miał siedemdziesiąt li powierzchni, lecz ci, którzy kosili siano i zbierali gałęzie, mogli wchodzić do niego, jak również i ci, którzy łapali bażanty i zające. Król Wen dzielił go razem z ludem, więc czy nie było słuszne, że lud uważał, że park ten jest za mały?

Kiedy pierwszy raz przybyłem do granic twojego państwa, to dowadywałem się, jakie są główne zakazy obowiązujące, a dopiero następnie ośmieliłem się wejść. Usłyszałem wówczas, że wewnątrz posiadłości twojej znajduje się park o rozmiarach czterdziestu li i że kto zabije tam jelenia, popełnia przestępstwo równe zabiciu człowieka. W ten sposób tych czterdzieści li powierzchni stało się wilczym dołem pośrodku twojego królestwa. Czy nie jest więc słuszne, że lud uważa park twój za zbyt duży?

(Ks. I, część 2, rozdz. 2)

Mencjusz rzekł do króla Süan z Ts’i: Przypuśćmy, że jeden z twoich urzędników, udając się w podróż do Cz’u, powierzyłby swoją żonę i dzieci opiece przyjaciela, a po powrocie stwierdził, że cierpieli oni zimno i głód. Cóż w tym wypadku powinien on uczynić?

Król odrzekł: Powinien zerwać z nim stosunki.

Mencjusz zapytał: A jeżeli główny sędzia nie będzie w stanie kierować podwładnymi sobie urzędnikami, to co uczynisz wówczas?

* Mencjusz, chiński filozof-polityk kierunku konfucjańskiego, żył w latach 371—289 p.n.e. Bliższe dane, dotyczące jego teorii społecznych i politycznych, zostały omówione w „Przeglądzie Orientalistycznym” nr 2 (6), 1953, w artykule Aleksiego Dębnickiego *Teoria umowy społecznej w Chinach starożytnych*.

¹ li — circa 500 m.

Król rzekł: Zwolnię go.

Mencjusz zapytał wówczas: A jeśli wewnątrz czterech granic twojego państwa rządy są złe, to co należy uczynić?

Król rozejrzał się na lewo i prawo i zaczął mówić o innych sprawach.

(Ks. I, część 2, rozdz. 6)

Król Süan z Ts'i przyjął Mencjusza w Śnieżnym Pałacu. Król rzekł: Czy mędrzec również może znajdować radość w tym wszystkim, co nas otacza?

Mencjusz odparł: Tak. Jeśli jednak inni radości tej nie doznają, to wówczas potępiają oni swych władców, co nie jest słuszne. Być jednak władcą ludu i nie dzielić ze swoim ludem radości, również jest błędem.

Jeśli władca raduje się radością ludu, to lud również raduje się jego radością; jeśli smuci się on smutkiem ludu, to lud smuci się jego smutkiem.

Raduj się radością świata i smuć się smutkiem świata — nigdy nie było takiego, który by tak postępując nie był władcą powszechnym.

(Ks. I, część 2, rozdz. 4)

Król Süan z Ts'i zapytał Mencjusza: Czy istotnie tak było, że T'ang wygnał (króla) Kie, a Wu Wang zabił (króla) Czou?²

Mencjusz odparł: Tak podają przekazy tradycyjne.

Król rzekł: Czy więc poddany może popełnić królobójstwo?

Mencjusz odparł: Tego, który występuje przeciwko zasadom humanitarności, zwiemy przestępcą, a tego, który występuje przeciwko zasadom prawości, zwiemy zbrodniarzem. Przestępca i zbrodniarz jest już zwykłym człowiekiem. Słyszałem, że ukarano człowieka Czou, lecz nigdy nie słyszałem, aby popełniono królobójstwo w stosunku do władcy.

(Ks. I, część 2, rozdz. 8)

Książę Wên z T'êng rzekł do Mencjusza: T'êng jest małym państwem i znajduje się pomiędzy Ts'i i Cz'u. Któremu z nich powinienem raczej służyć — Ts'i czy Cz'u?

Mencjusz odparł: Twój plan służenia jednemu z nich nie odpowiada moim zasadom. Jeżeli chcesz, panie, posłuchać mojej rady, kop głębiej twoje fosy, wznoś wyżej twoje wały, strzeż ich razem z ludem twoim, bądź gotów zginąć w walce i rób tak, aby lud cię nie opuścił. To wszystko, co można uczynić.

(Ks. I, część 2, rozdz. 13)

² Kie i Czou byli to dwaj tyrani, którzy zostali pozbawieni władzy przez T'anga i Wu Wanga, założycieli dynastii Szang-In i Czou.



Mencjusz

Mencjusz rzekł: Przychylność Nieba nie ma takiego wpływu, jak korzystne położenie na ziemi, a korzystne położenie na ziemi nie odgrywa takiej roli, jak zgodne współdziałanie ludzi.

I tak można dać przykład miasta otoczonego murem wewnętrznym długości trzech *li* i murem zewnętrznym długości siedmiu *li*. Miasto to zostało obleżone, ale nie zdobyte. Ponieważ z rozpoczęciem ataku przeciwnik z całą pewnością czekał na przychylną porę Niebios, więc jeśli atak ten nie udał się, to znaczy to, że przychylność Nieba nie odgrywa takiej roli, jak korzystne położenie na ziemi.

Jeżeli teraz weźmiemy przykład miasta, którego mury są wysokie, a fosy głębokie, miecze i pancerze jego obrońców są twarde i ostre, zapasy ryżu i zbóż duże, i jeżeli w wyniku wojny zostaje ono poddane i opuszczone, dowodzi to, że korzystne położenie na ziemi nie odgrywa takiej roli, jak zgodne współdziałanie ludzi.

Dlatego też mówi się: „Lud tworzy okrąg odrębny nie dzięki odgraniczeniu go nasypami i granicami, państwo jest zabezpieczone nie dzięki

niedostępności gór i potoków, a rozciągnięcie autorytetu nad światem całym nie jest wynikiem ostrości broni“.

Wszyscy pomagają temu, który posiada właściwy sposób postępowania, a nieliczni tylko temu, który go nie posiada. W krańcowym wypadku „pomagania przez nielicznych“ nawet krewni i powinowaceni występować będą przeciwko niemu, a w krańcowym wypadku „pomagania przez wszystkich“ cały świat staje się mu posłuszny. Ten, któremu cały świat jest posłuszny, podbija tego, przeciwko któremu występują krewni i powinowaci. Dlatego też książę prawdziwy jest przeciwnikiem wojen, lecz kiedy walczy, to zwycięża.

(Ks. II, część 2, rozdz. 1)

Mencjusz przybył do P'ing-lu, gdzie zwrócił się do wielkorządcy tej miejscowości z zapytaniem: Jeśli jeden z twoich halabardników trzykrotnie w ciągu dnia opuści miejsce w szeregu, to czy ty wówczas odprawisz go?

Wielkorządca odpowiedział: Nie będę czekał, aż zrobi on to trzy razy.

Mencjusz wówczas rzekł: W takim razie i ty, Panie, również wielokrotnie już opuściłeś twoje miejsce w szeregu. W latach klęsk i głodów starcy i słabi z podległego tobie ludu padali do rowów i fos, a ludzie w siłę wieku tysiącami rozpraszały się na cztery strony świata.

Wielkorządca odparł: Te sprawy nie należą do moich obowiązków.

Mencjusz rzekł: Jeśli ktoś przyjmuje na siebie obowiązek wypasania cudzych krów i owiec, to powinien szukać dla nich pastwisk i trawy. Jeśli natomiast nie może on znaleźć pastwisk i trawy, to czy powinien zwrócić właścicielowi powierzone sobie bydło, czy też stać i patrzeć, jak ono ginie?

Wielkorządca rzekł: Słusznie, jest to istotnie moja wina.

Innego znów dnia Mencjusz, będąc na audiencji u króla, powiedział: Poznałem pięciu spośród twoich wielkorządców, lecz jeden tylko K'ung Kü-sin widzi swoje własne błędy — i powtórzył rozmowę królowi.

Król rzekł: W istocie winnym jestem ja.

(Ks. II, część 2, rozdz. 4)

Mencjusz rzekł: Niegdyś Czaó Kien-ty przydzielił swojemu faworytowi Hi na woźnicę Wang Lianga. Łowy ciągnęły się przez cały dzień, lecz nie upolowali oni ani jednego ptaka. Faworyt Hi po powrocie oświadczył: Pod niebiosami nie ma gorszego woźnicy. Ktoś poinformował o tym Wang Lianga. Liang rzekł: Poproszę o powtórny próbę.

Po usilnych naleganiach uzyskał on możliwość odbycia powtórnej próby i w ciągu jednego poranka złowiono dziesięć ptaków. Tym razem fa-

woryt Hi po powrocie powiedział: Jest to najlepszy woźnica pod niebem. Czaó Kien-tsy rzekł wówczas: Uczynię tak, że będzie zawsze z tobą jeździł. Powiedział on o tym Wang Liangowi, ale Liang odmówił, mówiąc: Gdy powożąc mu, obserwowałem zasady poprawnego powożenia, to przez cały dzień nie złapaliśmy ani jednej sztuki, ale gdy za drugim razem podjeżdżałem do zwierzyny w sposób nieprawidłowy, to w jeden poranek zdobycz wyniosła dziesięć sztuk. Powiedziane jest w *Księdze Pieśni*:

„Są oni bezbłędni w powożeniu,
Miotają strzały, jakby zadawali ciosy“.

Ja nie jestem przyzwyczajony do powożenia prostakowi. Proszę o zwolnienie mnie.

(Ks. III, część 2, rozdz. 1)

P'eng Kêng zapytał Mencjusza: Czyż nie sądzisz, panie, że może się to wydawać rażące, gdy z orszakiem kilkudziesięciu wozów i kilkuset ludzi przenosisz się od jednego księcia udzielnego do drugiego, żyjąc na ich koszt?

Mencjusz odparł: W sposób nieprawidłowy nie wolno przyjąć nawet jednej bambusowej czarki ryżu, ale w sposób prawidłowy Szun mógł przyjąć od Jao cesarstwo i nie było to rażące. A może ty uważasz, że to było rażące?

P'eng Kêng odrzekł: Nie. Uważam jednak za niewłaściwe jeżeli urzędnik, nie mający funkcji, przyjmuje utrzymanie.

Mencjusz rzekł: Jeżeli ty, panie, nie będziesz dopuszczał do wymiany owoców pracy i usług, tak aby nadmiarem w jednym miejscu uzupełniony był brak w innym, to wówczas rolnicy będą mieli nadmiar ziarna, a kobiety będą miały nadmiar tkanin. Jeśli natomiast dopuścisz do wymieniania ich, wówczas cieśle i kołodzieje otrzymają żywność. A teraz — jest człowiek, który w domu swoim jest dobrym synem, a na zewnątrz jest pełen szacunku dla osób starszych. Pilnuje on zasad dawnych władców, aby przekazać je tym, którzy po nich uczyć się będą i pomimo to — ty panie — odmawiasz mu utrzymania. Dlaczego cenisz tak cieśle i kołodzieja, a lekceważysz tego, który kultywuje ludzkość i prawość?

P'eng Kêng rzekł: Cieśla i kołodziej pracują, aby zarobić na utrzymanie, ale czy człowiek szlachetny postępuje w sposób prawidłowy po to tylko, ażeby zarobić na utrzymanie?

Mencjusz odrzekł: Cóż cię obchodzi jego cel? On jest pożyteczny dla ciebie, zasługuje na utrzymanie, więc utrzymuj go. A ponadto powiedz proszę, czy ty, panie, wynagradzasz cel czyjegoś działania, czy też pożytek, który masz z tego?

P'eng Kêng odparł: Wynagradzam cel jego działania.

Mencjusz powiedział: Jeśli tak, to wyobraź sobie, że pewien człowiek rozbija dachówki i bazgrze po murze, czyniąc to w celu zdobycia utrzymania — czy dasz mu, panie, to utrzymanie?

P'eng Kêng odpowiedział: Nie.

Mencjusz rzekł: Jeśli tak, to ty, panie, wynagradzasz nie intencję, lecz pracę.

(Ks. III, część 2, rozdz. 4)

Pewien człowiek z Ts'i mieszkał razem ze swoją żoną główną i poboczną. Gdy wychodził on z domu, powracał zwykle objedzony mięsem i opity winem, a na pytanie swoich żon, z kim jadł i pił, zawsze odpowiadał, że byli to ludzie bogaci i szanowani.

Żona powiedziała pewnego razu do drugiej żony: Gdy nasz dobrodziej wychodzi, to zawsze powraca objedzony mięsem i opity winem. Pytałam go się z kim jada i pija; wydaje się, że są to tylko ludzie bogaci i szanowani, a pomimo to nikt z ludzi znamienitych jeszcze nas nie odwiedził. Sprawdzę, gdzie nasz dobrodziej chodzi. Wstała więc rano i poszła za swoim mężem. Przez całe miasto nikt się nie zatrzymał przed nim, ani nie przemówił do niego. Na koniec doszedł on aż do żałobników, którzy poza wschodnimi murami składali ofiary na grobach, i prosił, aby dali mu resztki. A gdy tego było mu mało, podszedł do drugiej grupy żałobników. Takie to było jego ucztowanie.

Główna żona wróciwszy rzekła do drugiej żony: Na naszego małżonka spoglądałyśmy z taką nadzieją, życie nasze pragnęłyśmy spędzić z nim, a oto tak postępuje. I obie złorzeczyły i płakały w sali środkowej. W tym czasie małżonek ich, nic o tym nie wiedząc, powrócił, paradygując w dumny sposób przed swymi żonami.

Można powiedzieć, że w opinii człowieka szlachetnego niewiele jest sposobów, za pomocą których ludzie osiągają bogactwa, zaszczyty, zyski i stanowiska, których żony ich nie wstydziłyby się i nie opłakiwały.

(Ks. IV, część 2, rozdz. 33)

Przełożył z chińskiego
Aleksy Dębnicki



Winiетка przedstawia znak na tygrysa w piśmie chińskim z połowy II tysiąclecia p.n.e.

YAMANOE-NO OMI OKURA

DIALOG O NĘDZY

W noce, gdy wicher
w zawody z deszczem hula,
w noce, gdy z deszczem
na przemian śniegiem miecie,
gdy zimno strasznie
i nie ma na to rady —
odłamek solnej
bryły rozgryzam w zębach
lub męty winne
podgrzane łykam chciwie;
zakaszłę czasem,
to znów pociągnę nosem.

Swą niepozorną
w zadumie gładzę brodę
chełpliwie myśląc:
tak nie jest wytrzymały
prócz mnie nikt chyba...

Lecz nadal jest mi zimno...

Choć wciągam na łeb
konopną mocniej derkę,
choć kładę na grzbiet
płóciennych płacht bez liku,
lecz mimo wszystko
wciąż czuję zimno nocy...

Biedniejszym przecież
ode mnie jesteś człkiem,
rodzicom twoim
dokucza głód i zimno,
a żona z dziećmi

zapewne płacząc żebrze.
I w chwilach takich
czy czynisz coś, by nadal
utrzymać nędzne życie?

Choć czasem mówią,
że świat ten jest wygodny,
jednakże dla mnie
aż nazbyt stał się szorstki.

Choć świeci słońce
i księżyc ponoć świeci,
jednakże dla mnie
nie zsyla ciepła niebo.

Czy wszyscy ludzie,
czy tylko ja tak czuję?
Przypadkiem chyba
podobnym do człowieka;
przypadkiem też mnie
wliczają w poczet ludzi.

Z mych ramion zwisa
łachmanów samych resztką,
nie wełna zresztą,
lecz płótna cienkie płaty,
tak postrzępione,
jak wodorostów wiechcie.

A w chacie mojej,
zapadłej, zrujnowanej,
na gołej ziemi
pokrytej źdźbłami słomy
rodzice spoczną
tuż obok mojej głowy,
a żona z dziećmi
zasypia u nóg moich ...

Tak leżą wokół
i nieraz płaczą, jęczą ...

Ognisko zgasło,
choć dmuchać, dym nie wstanie;
w garnku po ryżu
pajęcza nić rozsnuta:
zapomnieliśmy,
jak to się ryż gotuje ...

I tak siedzimy
wtrąceni w rozpacz czarną ...
Mawiają ludzie,
że wiatr biednemu w oczy ...
— to widać prawda,
bo w takiej właśnie chwili
słyszę, jak sołtys
z karbowym kijem w dłoni
na progu staje
i woła o daninę ...

Czy życie nasze
na świecie nie powinno
upływać w inny sposób?

REFLEKSJA AUTORSKA

Choć świat uważam
za zły i bezlitosny,
nie mogę jednak
odlecieć stąd, niestety,
bo ptakiem wszak nie jestem ...

Dialog o nędzy, którego autorem jest Yamano-e-no omi Okura, znany głównie pod swym imieniem Okura, wzięty został z V księgi (pozycja 100 i 101) starożytnej antologii poezji japońskiej, zwanej *Manyōshū*, co znaczy *Zbiór dziesięciu tysięcy liści*, powstałej w VIII wieku naszej ery. Zawiera ona 20 ksiąg, a w nich przeszło 4000 poematów. Przeważnie są to poematy krótkie (*tanka*), pięciowierszowe (porównaj *Refleksję autorską* w powyższym tłumaczeniu). Około 250 poematów ma formę długich pieśni, tzw. *nagauta* i jedną z nich jest *Dialog o nędzy*. Zarówno *tanka*, jak i *nagauta* mają ustaloną formę sylabiczną, a mianowicie w każdym wierszu na przemian po 5 i 7 sylab, przy czym zakończenie poematu wymaga jeszcze jednej dodatkowej siedmiosylabówki (w *Dialogu* mamy z natury rzeczy dwa

takie zakończenia, po obu monologach). Rymu wiersz japoński nie posiada. W tłumaczeniu zachowano ściśle układ sylabiczny wierszy i ilość wierszy oryginału. Na skutek wyjątkowo dużej prostoty składniowej oryginału udało się też w większości wierszy zachować tę samą zawartość semantyczną, jaka na nie przypada w japońszczyźnie, tak że dynamika treściowa tłumaczenia jest na ogół podobna do tej, jaką nadał swemu utworowi autor.

Okura żył w latach 660 — 733. Jest jednym z głównych poetów *Manyōshū*, które zawiera kilkadziesiąt jego utworów. Był to człowiek wykształcony na literaturze chińskiej i sam piszący po chińsku zarówno prozą jak i mową wiązaną, przy czym jego chińskie kompozycje odznaczają się bezbłędnością, górnolotnym stylem i subtelnym smakiem artystycznym. Od młodych lat przebywał na służbie u ówczesnych władców Japonii, obdarzany różnymi stanowiskami (m. in. 20 lat służby przy poselstwie japońskim w Chinach) i awansowany włącznie do stanowiska gubernatora prowincji (około 728). Przypuszczalnie dopiero teraz, a więc w ostatnich latach swego życia, interesuje się bliżej zarówno własną starością, jak życiem rodzinnym i życiem swych podwładnych. Z tego zdaje się okresu pochodzi szereg jego elegii na temat beziły starości, śmierci syna, a między innymi również *Dialog o nędzy*. Wszystkie one tchną silnym pesymizmem i sentymentalnością, co zresztą wzmagane jest buddyjskim światopoglądem, jaki niewątpliwie Okura, jako wykształcony dworak i miłośnik kultury chińskiej, wyznawał. Dialog zajmuje w *Manyōshū* i w ogóle w całej dawnej poezji dworskiej dość wyjątkowe stanowisko, bo niewiele tylko poematów mówi o doli ubogich warstw ówczesnej Japonii, a chyba już żaden nie mówi w tak zdecydowanej, realistycznej formie.

Przełożył z japońskiego i przypisem opatrzył

Wiesław Kotański

SZEMS-ED-DIN HAFIZ SZIRAZI

G A Z E L

درد عشقی کشیده ام که می پرس

Ile z bólu miłości cierpiałem,
o to nie pytaj!
Gorzki piołun rozstania wessałem,
o to nie pytaj!
W tych wędrówkach obiegłem świat cały,
wreszcie zbłąkany
Jakie bóstwo mych snów odszukałem,
o to nie pytaj!
W mej tęsknocie do prochu jej progu
tkwi taka boleść...
Ile gorzkich łez z oczu wylałem,
o to nie pytaj!
Wczoraj z pięknych jej ust do mych uszu
szepł cichy doszedł...
Jakie słowa od niej posłyszałem,
o to nie pytaj!
Wargi gryząc znak dajesz mi: „nie mów!”
Sam wszak ugryzłem
Rubinowych ust wargi jej małe,
o to nie pytaj!
Jam samotny bez ciebie w lepiance
nędznej, żebraczej;
Mnie męczarnia dowiedzie do szału,
o to nie pytaj!
Jam jak H a f i z przybędę na drodze
ścieżce miłości.
Jak osiadłem na miejscu tym stałym,
o to nie pytaj!

G A Z E L

صلاح کار کجا و من خراب کجا

Rzetelny czyn prowadzi dokąd?
 a ja w ruinach spity — gdzie?¹
 Co różni — spójrz! — ten trakt daleki:
 początek — skąd i koniec — gdzie?

Sprzyskrzyło serce sobie celę,
 fałszywy habit, mnisi wór.
 Pustelnia gdzież klasztoru magów
 i cierpkie wino czyste — gdzie?

Czyż z rozpasaniem da się zrównać
 pocziwej dostojności wzór?
 Głos z kazalnicy mam dokąd?
 a dźwięk strun lutni woła gdzie?

Minął już czas — pora złączenia,
 lecz pamięć o niej wiecznie trwa.
 Gdzież znaleźć grę zalotnych spojrzeń?
 Słodkich wyrzutów słowa gdzie?

Cóż z pięknej twarzy mego druha
 zrozumie serce wrogów złych?
 Gdzież zrównać nikły płomyk świecy?
 a blask promieni słońca — gdzie?

Zbawienną maścią dla mych oczu
 będzie sprzed progu twego proch.
 Dokąd obróć twarz — racz wskazać!
 Od wspaniałości pójdę gdzie?

Spokoju, cierpliwości, druha,
 nie żądaj od H a f i z a, ty!
 Skąd wziąć ten spokój, skąd cierpliwość
 i długi sen spoczynku — gdzie?

¹ Gazel ten ma w oryginale refren (redif) *kudźā* — „gdzie“ i „dokąd“. Redif ten spotyka się często w poezjach perskich; występuje już w czterowierszach Awi-cenny. W gazelu zwraca uwagę dość licznie reprezentowana terminologia suficka: *salāh*, *ṣawma'a*, *hirkā*, *sālūs*, *dajir*, *wa'z* itd.

G A Z E L

دانی که چنگ و عود چه تقریر میکنند

Czy wiesz, co brzęczą harfa, lutnia?
Znasz głosy ich pogwaru?
„Tajemnie pijcie wino, skrycie,
bo grozi za to kara!

Kochania cześć, blask zakochanym
rabują, z ułud łupią.
Piętnują hańbą ludzi młodych,
zło zarzucają starym.

Nie każą słuchać, ani mówić
o tajnej grze miłości!“
Najtrudniej powieść snuć dokładnie,
powtórzyć choć się starasz.

Nas, co przed drzwiami się znaleźli,
zajmuje sto głupstw drobnych.
Właściwie znać dobrze by było,
co tam jest z a kotarą.

I znów sędziwych magów gania,
wzbudzają czas ich pracy.
Spójrz no, co też uczyni starcom
świętoszków groźna chmara...

Prócz czarnych monet fałszu serca
ci głupcy cóż zyskali?
Eliksir życia czyż wydały
alchemii opary?

Pij wino! bowiem szejch i H a f i z,
i mufti, i stróż prawa²,
Gdy dobrze spojrzysz — wszyscy zwodzą,
oszustwem — złudne czary.

² Gazel ten powstał za panowania Mubariz ed-Dina Muzafferiego (panował w Szyrazie w latach 1353—1358). Wymieniony w końcowym wierszu „stróż prawa“ (w oryginale *muhtaşib*) oznaczał funkcjonariusza policji obyczajowej w dawnej Persji. Było to zarazem szydercze przezwisko nadane zniechęconemu władcy Szyrazu (por. „Przegląd Orientalistyczny“ nr 4(8), 1953, s. 234).

Szejch, hafiz, mufti, *muhtaşib* — są to terminy na oznaczenie różnych godności w rytualno-prawnym systemie muzułmańskim.

G A Z E L

خوشا شیراز و وضع بی مثالش

Jakże piękny jest Szyraz
i widok niezrównany!
Niech Bóg go pilnie strzeże
od klęsk i nieszczęść znanych!

Nasza rzeczka Ruknabad
stokroć błogosławiona!
Jak życiodajny strumień
rzeźwi wodą źródlaną!

Od ogrodów w Musalla,
okolic Dżaferabadu³
Wiatr niesie zapach piżma,
aromat pól różanych.

Przyjdź do Szyrazu, znajdziesz
obfitość tronu niebios
Wśród ludzi doskonałych,
w naukach odczytanych.

Któż zdoła nazwać słodycz
cukru egipskiej trzciny,
By słodkie te piękności
nie były zagniewane.

Gdy słodkie usta sączą
mej krwi serdecznej krople,
O serce! krew dozwolisz
jak mleko matki ssane.

Hafizie, czemuś truchlał
i bał się tej rozłąki?
Nie lepiej składać dzięki
za dni złączeń spotkane?

Przełożył z perskiego
Ananiasz Zajączkowski

³ Nazwy Musalla i Dżaferabad — są nazwami okolic i gajów okolicznych Szyrazu. Ruknabad — nazwa rzeczki przepływającej koło Szyrazu.

ÖMER SEYFETTİN

ZAKŁĘCIE*

Jakże miłe jest życie poza Stambułem! Wie o tym tylko ten, kto mieszka na prowincji. Prowincja... Z jednej strony dostojnicy, wyżsi duchowni... Z drugiej urzędnicy, oficerowie, nauczyciele... Potem miejscowa ludność, właściciele gospodarstw rolnych... Każda klasa społeczna ma inną kawiarnię, inne zabawy, inne zamiłowania. Jedynym człowiekiem, którego można by nazwać „międzyklasowym“, jest miejski doktor okręgu; on zawsze z wszystkimi rozmawia, z wszystkimi jest w dobrych stosunkach i zagląda do kawiarni, w których siadają nauczyciele, urzędnicy, oficerowie. Apteka jest klubem dostojników, zachodzą tam także wyżsi urzędnicy. Biura adwokackie są w pewnym stopniu podobne do apteki.

Prowincja jest miłym, odrębnym światem. Jakieś dziewięć lat temu byłem nauczycielem szkoły średniej w niezbyt odległym od Stambułu miasteczku. Na prowincji, w tym niezależnym świecie, szkoła jest odrębnym światem; można rzec, że to świat w świecie! Dwudziestu ludzi: starych, młodych, mądrych, głupich, gaduł i milczków z czterech czy pięciu szkół o różnych programach i celach. Dyrektor, zastępca dyrektora, nauczyciele, pomocnicy nauczycieli... administracja! Anachronizmem byli uczniowie przebywający w internacie, którzy zjeżdżali się z najodleglejszych zakątków dawnego olbrzymiego imperium, ze wschodu i zachodu... Gromada dzieci wszelkich ras i typów, które nie miały w sobie nic tureckiego, prócz języka, którym mówiły!

Ale wśród tak wielkich przeciwieństw, jakże serdeczna zgoda. Fana-tycy, reakjoniści, liberałowie, w końcu ludzie nie mający żadnych określonych doktryn i zasad zżywali się z sobą jak bracia.

Był tam pewien matematyk, którego można by uznać za wolnomyśliciela. Nauczycielem przyrody był młodzieniec poważny, cierpiący wewnętrznie, patrzący na nas wszystkich czarnym, niedoświadczonym spojrzeniem. Ja wykładałem literaturę. Wykładowcą francuskiego był Żyd. W czasie wieczornych dyżurów zapisywał łacińskim alfabetem w swym

* Tytuł oryginału *Kurbağa duası* — zaklęcie na żaby.

notesie słowa, o które pytali go chłopcy, a następnego dnia prosił mnie o wyjaśnienie ich znaczenia. Pewnego razu zapytali biedaka co znaczy „dżezbei rahman“¹.

Złapał mnie w pokoju nauczycielskim:

— Co znaczy „dżezvei rahman“² — zapytał.

— Nie ma takiego wyrażenia! — zaśmiałem się. Wobec tego, że się upierał przy swoim, poleciłem odnaleźć ucznia, który go o to pytał. Odszukaliśmy ten termin w książce i wyjaśniło się, że mylnie go zrozumiał. Odtąd słowa te krążyły wśród nas jako dowcip. Przezywaliśmy biedaka: „rondelek miłosierdzia“.

Wreszcie dyrektor... Nie znałem drugiego na świecie człowieka do tego stopnia miłującego porządek, prawo i zasady. Nigdy z nikim nie utrzymywał bliższych stosunków towarzyskich; poza komitetami szkolnymi żył samotnie, jak mitologiczne bóstwo. Przeważaliśmy go „w celu“. Kiedy zbieraliśmy się w jego pokoju na narady, którym nadawał najwyższe znaczenie, nikomu z nas nie pozwalał zabierać głosu, wszystkim kazał pisać różnego rodzaju okólniki: „w celu, w celu, w celu...“ Jakiegokolwiek byłoby zagadnienie, mówił o nim zawsze tymi samymi słowami ze znanym „w celu“ na początku zdania i gdy tylko braliśmy się za pióra, zdawał się mówić „załatwiłem“.

Spośród kolegów najbardziej lubiłem Bahir Efendiego, nauczyciela religii. Ukończył on szkołę średnią i uniwersytet. Miał około pięćdziesiątki. Był to człowiek z zasadami, mówiący pięknym językiem, sprytny, interesujący i wesoły. Przyjaźniliśmy się, bo mieliśmy wspólne poglądy na wychowanie. Na ile byłem liberałem, na tyle wierzyłem, że zawsze potrzebny jest pewien konserwatyzm w wychowywaniu. Miejscem przewrotu nie jest szkoła, tylko życie. Zadaniem nauczyciela jest bronić dawnego sposobu wychowania dzieci. Ponieważ jego zapatrywania były zgodne z moimi, na zebraniach tworzyliśmy z naszymi stronnikami przeważającą siłę i nie dopuszczaliśmy do głosu liberałów, zwolenników nowoczesnego wychowania. Najbardziej zachwycali mnie u Bahir Hodży żywo wypowiedane wyrażenia: „wbrew temu, wskutek tego, dzięki temu“. Rozmawiał tak, jakby się kłócił; wymachiwał prawą ręką ze zrećznością karagöza³, jakby chciał słowom swoim nadać kształt pięści. Jedy-

¹ *Dżezbei rahman* — uniesienie, ekstaza miłosierdzia. *Rahman* jest terminem technicznym, używanym dla określenia jednej z cech boskich. *Rahman* znaczy miłosierny, współczujący, litościwy. Takim jest Allah w stosunku do ludzi. Termin *Rahman* stał się epitetem, imieniem Boga, zastępującym słowo Allah.

² *Dżezvei* — kawnik, rondel miedziany lub emaliowany z długą rączką, do gotowania kawy.

³ *Karagöz* — bohater tureckiego teatru cieni.

na jego słabością była nargila⁴. Był tak od niej uzależniony, że musiał ją w ciągu dnia, w kawiarni czy w szkole wypalić przynajmniej dziesięć razy. Nargila to... to nie jest coś takiego jak papierosy. Olbrzymia! Trzeba ją ukrywać przed dyrektorem, przed inspektorami. Pewnego dnia siedzieliśmy w naszej kawiarni i rozmyślaliśmy nad nargilą składaną. Na przykład gdyby po napaleniu zdjęło się wierzch podobna byłaby do karafki, ustnik można by schować do kieszeni...

— A długi skórzany wąż nargili? — pytał Bahir Hodża.

— Owinałbyś się nim na biodrach pod płaszczem.

— Połamie się...

— To skrećisz w kółko w fezie!

— Nie zmieści się...

Gdyśmy tak rozmawiali, wszedł doktor. Podeszedł do nas, przywitał się, usiadł. Miał zamiar iść w piątek do klasztoru bektaszytów⁵. Podawano tam jagnię pieczone, wino, grano na sazie⁶... Nas też zapraszał.

— Nie możemy iść! — rzekłem.

Byliśmy nauczycielami, nie mogliśmy chodzić na takie zebrania z szalami i napojami. Doktor nalegał: „nie będziecie pić, pozatykacie sobie uszy, zawiążecie sobie oczy“ — mówił. Niektórzy z naszych kolegów zgodzili się...

— Jeżeli dostarczycie mi nargilę, przyjdę — rzekł Bahir Hodża.

— Przyniosę. Na Boga, przyniosę, Hodžo! — przysięgał doktor.

Był to prawy i wesoły młodzieniec. Można rzec, że najweselszy człowiek w miasteczku. Jego słowa uzdrawiały chorych bardziej niż lekarstwa.

*

W piątek w rozbawionym towarzystwie poszliśmy do klasztoru bektaszytów. Miejsce to podobne było do raju, którego zupełnie żywy obraz zachował się z dawnych szczęśliwych czasów. Tak jakby nad spokojnym dachem białego, samotnego budynku klasztornego, stojącego wśród odwiecznych jaworów, nie przeszły wiatry burzy zwanej historią. Basen był tak duży, że można by go uznać za naturalne jezioro, gdyby dookoła nie był obmurowany. Drzemał w szmaragdowych cieniach z roz-

⁴ *Nargila* — przyrząd do palenia tytoniu; rodzaj dużej butli napełnionej wodą, z długim węzem; przy paleniu dym przechodzi przez wodę.

⁵ Bektaszyci — członkowie zakonu bektaszyje, założonego przez legendarnego Hadzi Bektasz Weli. Wiadomości historyczne o zakonie mamy od XVI w.

⁶ *Saz* — instrument muzyczny o trzech strunach, używany przez tureckich pieśniarzy ludowych.

wartymi kielichami nenufarów na powierzchni. Usiedliśmy na rozesłanych przez derwiszów matach. Telegrafista wziął harfę, notariusz cytrę. Przyszedł również skrzypek Aleko. Odezwał się saz.

Doktor, podając się za podczaszego, nalewał wódkę, wreszcie stanął przed Bahir Hodżą.

— Wypij łyk.

— Mam swoją nargilę... Przez całe życie nie wziąłem do ust ani kropli wódki.

— Weź łyk, przepłucz gardło. Potem wypluj.

— Jaka z tego korzyść?

— Na Boga, przeciwdziała rozkładowi.

.

Bahir Hodża nie chciał na tego rodzaju zebraniach uchodzić za ciemnego fanatyka. Przytknął do ust kieliszek. Doktor stał nad nim, aż zmusił go do połknięcia kilku kropel. Tych kilka kropel wódki dodało mu kilka dzbanów humoru. Śmieliśmy i bawiliśmy się, ale w głowach nam huczało jak w garnku! W tym zielonym raju trwał nieprzerwany, piekielny hałas. W olbrzymim basenie chyba milion żab wrzeszczało na cały głos tak, że nie mogliśmy dosłyszeć własnych słów.

— Ach matko! Jak je uciszyć? Popekają nam bębenki!

— Cokolwiek byście robili, nie uda się wam je uspokoić — mówili derwisze.

Wstaliśmy wszyscy prócz Bahir Hodży. Hałas był nie do zniesienia. Zaczęliśmy rzucać do basenu kamienie, ziemię, wszystko, co wpadło nam w ręce. Żaby jak rozwścieczone tym naszym atakiem wrzeszczały jeszcze głośniej. Doktor palił gazety i rzucał je na staw, sądząc, że przestraszone tym uciekną. Nic nie pomagało, nie milkły, przeciwnie, ich rechot przechodził wszelką miarę. Nie słysząc już było dźwięków sazu.

— Nie ma innego wyjścia, musimy stąd uciekać!

— Dokąd pójdziemy?

— Gdzieś dalej od basenu...

W tym momencie odezwał się siedzący przy swej nargili, zapomniany przez nas Hodża:

— Jeżeli zechcę, to je w jednej chwili uciszę.

— Jak?

— Rzucę zaklęcie...

— Ejże?

— Natychmiast zamilkną.

...Chociaż humor dawno już nas opuścił, zaśmialiśmy się znowu wszyscy. Te żaby, to nie ból głowy, który można uspokoić w jednej chwili, to nieszczęście — mówił doktor.

Bahir Hodża wymachiwał pięścią z gniewem i wymyślał nam za naszą niewiarę. Jego krzyk i hałas miliona żab... W sumie awantura. Towarzystwo straciło do reszty humor.

— Niech wszyscy siadą na swoich miejscach, mówił Bahir Hodża, a ja pójdę nad brzeg basenu i rzucę zaklęcie. Jeżeli żaby nie zamilkną, możecie mi plunąć w twarz...

... Idź, jeżeli tak, idź Hodża ...

— ...

Nie wierzyliśmy, ale usiedliśmy na swoich miejscach w oczekiwaniu czegoś wesołego. Hodża wziął swoją nargilę i poszedł w kierunku basenu. Stał do nas plecami. Widzieliśmy tylko, że dmuchał w wodę. Nie minęła minuta, żaby zamilkły. Z olbrzymiego basenu nie dochodził nawet szept. Zdumieliliśmy się. Hodża wracał zaciskając zwycięsko pięści.

— Na miłość boską! Coś zrobił?

— Czyż nie widzieliście? Nie wierzcie własnym oczom! Zaczarowałem.

Po pół godzinie żaby znowu zaczęły rechotać. Teraz nie przestraszyło już nas to. Bahir Hodża poszedł nad basen i w jednej chwili znowu wszystkie uciszył. Swej kochanej nargili nie zostawiał przy nas, mówiąc „jesteście pijani, stłuczecie!” Tak zabawialiśmy się do wieczora. W zaklęcia Bahir Hodży uwierzył nawet skrzypek Aleko. Jedynie doktor nie wierzył, ale nie miał odwagi zaprzeczyć faktom, które widział na własne oczy. Obecni przy tym miejscowi urzędnicy ze zdumienia nie mogli nawet pić wódki. Derwisze bektaszy w zamyśleniu patrzyli na zaklinacza i nie wiadomo co im krążyło po głowach.

Następnego wieczora siedzieliśmy z Bahir Hodżą w kawiarni i czytaliśmy gazety stambulskie. Nie rozumiałem tego co czytałem, rozmyślałem bowiem nad tym, w jaki sposób udało się Bahir Hodży jak na komendę uciszyć rechot żabi. Byłem pewien, że jeżeli zapytam go o to wprost, odpowie mi znowu: „czyż i oczom własnym nie wierzysz? zaczarowałem, czy byłeś ślepy?” — i tak jak żaby, zmusi mnie tą odpowiedzią do milczenia.

Nie byłem na tyle głupi, uplanowałem na niego zasadzkę. Najpierw skłoniłem go do odłożenia gazety, potem rozpocząłem niezwykle niewinną dyskusję psychologiczną. To go bardzo interesowało. Mówiłem, że zwierzęta nie mają duszy, że tak jak rośliny, nie mają życia duchowego.

— Ja też tak myślę — potwierdził.

— Nie, kłamiesz! — odrzekłem.

— Na Boga, tak!

— Nie, nieprawda.

— Skąd wiesz?

— Bo zaklinałeś żaby. To znaczy, że uważasz, iż zwierzęta żyją życiem duchowym.

Opuścił ręce, oparł się o poręcz krzesła i zamilkł. Patrzył mi w oczy. Wpadł w zasadzkę! „Jeżeli plunie na dół — to trafi na swą brodę, jeżeli plunie do góry — trafi na swe wąsy“. Postawiłem go w takiej sytuacji, że... ściągnął tylko szerokie brwi i rzekł:

— Ja nie zaklinałem żab!

— To w jaki sposób je uciszyłeś?

— ...

Zawstydził się, nie mógł znaleźć odpowiedzi. Musiał albo przyznać się do swej niewiedzy, albo powiedzieć prawdę.

— Powiedz, co zrobiłeś, że żaby zamilkły?

— Tego ... kochanie, czyś głupiec? Czyż istnieją zaklęcia? Zrobiłem ... tego ...

— Co zrobiłeś?

— Wpuściłem węża od nargili

— Ejże?

— Żaby przypuszczały, że to wąż prawdziwy i natychmiast uciekły na dno basenu.

..... cechą życia prowincji jest otaczanie wszystkiego tajemnicą.

„Nie trzeba niszczyć wiary ludzi prostych“ — mawiał Bahir Hodża. Im nie potrzebna jest prawda naukowa. Bacz! nie powiedz nikomu, że pokazałem żabom węża od nargili! Niech wierzą, że rzuciłem zaklęcie.

Nie zdradziłem nikomu tej tajemnicy. Mieszkańcy miasteczka dowiedzieli się o darze zaklinania, jaki posiada Hodża. Nawet bektaszyci byli tego świadkami. Wątpliwości doktora powoli słabły, topniały. Kiedy mówiono o tym, jak pod wpływem dmuchnięcia Bahir Hodża uciszył żaby, biedak pochylał głowę i mawiał:

„Ileż to na świecie jest niewytłumaczonych zjawisk. Nasza wiedza nie jest nawet jedną stumilionową częścią tego niewiadomego“ — i nie wybuchał przy tym żywym, jak zwykle, śmiechem.

Przełożyła z tureckiego
St. Płaskowicka-Rymkiewiczowa

T U K I A F U

Smutno nam było, gdy rankiem 3 sierpnia w trzy dni po rewolucji opuszczaliśmy wraz z I-mengiem Luszan po pierwszej — od dawna — nocy wypoczynku, spędzonej w opustoszałym mieście. Fakt, że w samym środku lata, najwspanialszej porze wakacji, Luszan, niezrównane jako miejscowość letniskowa, było wyludnione — mógłby wywołać zdziwienie. Lecz człowiek znający sytuację, nie mógł się dziwić.

Był to czas rozłamu w ruchu rewolucyjnym. Czang Kai-szek zdradził rewolucję, porozumiał się w Nankinie z elementami rodzimego feudalizmu i powstał przeciwko tak zwanemu czerwonemu rządowi wuhańskiemu. Do jakiego jednak stopnia „czerwony rząd“ był rzeczywiście czerwony? W ciągu pięciu czy sześciu miesięcy toczył on w Honanie walki z Czang Tso-linem, i chociaż odnosił zwycięstwa, ofiar było bardzo dużo. Dołączona doń armia północno-zachodnia, głosząca ideę ugody z Nankinem, do tego stopnia oddziaływała na wewnętrzne siły reakcyjne, dotychczas utajone, że zaczęły podnosić głowę zmuszając do powolnego przyjmowania prawicowych tendencji reprezentowanych przez takie kreatury jak Wang Tsing-wei i Sun K'o; rozwiązano milicję chińskich związków zawodowych, a nawet i same związki zawodowe i stowarzyszenia chłopów, tak, że w rezultacie sami członkowie rządu byli zagrożeni.

Jedyną siłą zbrojną, na której opierał się rząd Wuhanu, była Czwarta Armia, dowodzona przez Czang Fa-kueia, w skład której wchodziła pierwotna Czwarta i Jedenasta Armia oraz dwie dywizje Ho Lunga i dwie dywizje Je Tinga; przedstawiała się więc ona poważnie. Istniały tedy realne możliwości utrzymania Wuczangu i zaciętej walki z siłami reakcji, reprezentowanej przez T'ang Szeng-czy, Ho-kiena i innych. Ale z powodu blokady dolnego biegu Jangtsekiangu, egoizmu i nieudolności Wang Tsing-weia, a ponadto tendencji Czang Fa-kueia do zachowania nienaruszonej armii, ostatecznie wycofano się ewakuując rząd i wojsko wzdłuż linii kolejowej Nanczang-Kiukiang.

Czang Fa-kuei robił to pod płaszczykiem niezmiernie szlachetnego zamierzenia — walki na wschodzie z nankińskim rządem Czang Kai-szeka. W rzeczywistości jednak politycy mieli tajne kontakty z Nankinem i planowali połączenie Nankinu i Wuhanu. Wojskowi, a szczególnie Czang Fa-kuei, biorący w opiekę niedołęznego A - T o u, także o tym marzyli w głębi serca. Gdy Czang Fa-kuei zajmował tereny wzdłuż linii kolejowej Nanczang - Kiukiang sam w szczerej rozmowie ze mną powiedział, że „idąc naprzód zachowuje możliwość rokowań, cofając się traci wszelkie szanse”.

Ale dokąd chciał się cofać? Do Kantonu? Zamienić „marsz na północ” w „powrót na południe”?

Tak przedstawiały się warunki rewolucji. Prawdziwa — aczkolwiek jeszcze w załazku — rewolucja, obrała nowy kierunek rozwojowy, zniszczyła ten owoc nadgniły już lub gnijący i wypuściła nowe korzenie — taki był sens rewolucji 1 sierpnia dokonanej w Nanczangu. Główną siłą biorącą udział w tej rewolucji były cztery dywizje Ho Lunga i Je Tinga. Dołączyli się też do nich później weterani z XI Armii. W ten sposób więc z armii Czang Fa-kueia niewiele co pozostało.

Tak więc wyludnienie Luszanu, niezrównanego jako miejscowość letniskowa, było zrozumiałe.

W tym czasie byłem przedstawicielem Partii w Czwartej Armii i co za tym idzie jednocześnie kierowałem wydziałem politycznym. Przenieśliśmy się za wojskiem do Kiukiangu, stacjonowaliśmy w szkole misyjnej, pustej już z powodu wakacji.

Porozumiałem się telefonicznie z Czang Fa-kueiem. Życzył sobie, bym natychmiast stawiał się u niego w komendzie, by rozważyć sposoby naprawienia sytuacji. Przyszedłszy, zastałem go w pokoju na piętrze domu z dwóch stron otoczonego ogrodem. Wnętrze było zdemolowane: oprócz Czang Fa-kueia w pokoju znajdowało się jeszcze dwóch nowomianowanych oficerów, H u a n g K i n g - j u i C z u H u e i - ż y. Dopiero przed chwilą otrzymali wiadomości o rewolucji 1 sierpnia, twarze ich mieniły się to radością, to przygnębieniem.

Czang Fa-kuei omawiał ze mną sprawę rządu lokalnego, proponował rozwiązać go, zgodziłem się z nim. Była to logika rewolucji — wiadano powszechnie, że wszystko w rządzie robili komuniści, oni też wzniecali rewolucję 1 sierpnia i wszyscy działacze polityczni powinni iść razem z nimi.

Wydział polityczny armii, choć powstał niedawno, jednak obrał sobie tę samą drogę co ja, różną od drogi wydziału politycznego. Zgromadził on najlepsze siły w ludziach i sprzęcie, samych mułów mieliśmy czterdzieści do pięćdziesięciu; przed dwudziestu laty stanowiło to luksus dla

armii, a cóż dopiero dla wydziału politycznego. Ponieważ i tak nie mogliśmy tego wszystkiego zabrać, wspaniałomyślnie oddaliśmy to armii, ale w zamian uzyskaliśmy to, że wszyscy będą się mogli rozejść bez przeszkód.

Z Czang Fa-kueiem łączyły mnie dość przyjacielskie stosunki, w czasie „marszu na północ” dzieliliśmy dobry i zły los, a w czasie walk w Honanie, jako zastępcę kierownika wydziału politycznego, udałem się na front, aby go podnosić na duchu. W Sinczeng odbyliśmy szczerą rozmowę. Zdawaliśmy sobie sprawę z naszych błędów, rozumieliśmy, że trzeba przełamać konszachty Nankinu zanim zostaną uwieńczone powodzeniem, że trzeba najpierw wypowiedzieć walkę Czang Kai-szekowi a dopiero potem Czang Tso-linowi. W tym czasie Fa-kuei cenił moje zdanie i nazywał mnie towarzyszem.

Toteż gdy po powrocie do Wuhanu mianowano go liniowym dowódcą Czwartej Armii, prosił mnie, bym został przedstawicielem partii u niego. Lecz z chwilą, gdy przyjąłem tę funkcję, z towarzyszy, których łączyła wspólna droga, staliśmy się ludźmi „połączonymi twarzami a rozdzielonymi sercem”. Gdy przedstawiałem mu jakieś poglądy, każde słowo jego odpowiedzi było sloganem, opinią książkową albo zgoła papierową gadaniną. W rezultacie nasza przyjaźń skończyła się, przestaliśmy być „połączeni twarzą a rozdzieleni sercem” — drogi nasze zupełnie się rozeszły.

Skoro powzięliśmy wspólną decyzję rozwiązania rządu, zainteresował się mymi osobistymi sprawami, spytał, co mam zamiar robić. Odparłem, że chciałbym udać się do Nanczangu, on jednak liczył, że będę mógł mu towarzyszyć. Powiedział, że sam chce na japońskim statku przekraść się do Szanghaju, a stamtąd wyjechać do Japonii. Armie przekaze Huang Tsi-ju i Czu Tsi-ży z rozkazem powrotu do Kuangtungu. Sądził, że zechcę mu pomóc. Liczył na moje studia w Japonii i znajomość japońskiego, na to, że mógłbym pełnić funkcje jego sekretarza osobistego. Odmówiłem mu jednak stanowczo. Mogłem mu być tylko wdzięczny, bo chociaż obstawałem silnie przy zamiarze udania się do Nanczangu, on nie stawiał mi żadnych przeszkód, a nawet mi trochę pomógł.

— Jeżeli chce pan się udać do Nanczangu — powiedział — radzę zrobić to dzisiaj wieczorem. Potem zostaną wydane surowe rozkazy, hasło i odzew podane dziś wieczorem nie będą już jutro gwarancją bezpieczeństwa.

Wyrażał również nadzieję, że zechcę przekazać w Nanczangu pewne jego polecenia:

— Po pierwsze, mam nadzieję, że oni bardzo szybko opuszczą Nanczang, tamtędy bowiem przejdą moje oddziały i w ten sposób unikniemy starcia.

— Po drugie, słyszałem, że oni mają zamiar wrócić do Kuangtungu, mam nadzieję, że pójda przez Tungkiang, nie zaś przez Czangkan, które będą maszerowały moje oddziały wracając do Kuangtungu, i w ten sposób unikniemy starcia.

— Po trzecie, woda rzeczna nie może szkodzić wodzie studziennej, my sobie wzajemnie nie będziemy przeszkadzać, mam nadzieję, że Komitet Rewolucyjny nie posłuży się po raz drugi moją osobą jako marionetką.

— Po czwarte, działacze politycznych wypuszcze co do jednego według wszelkich reguł grzeczności, mam nadzieję, że oni nie zrobią krzywdy moim ludziom.

Prosiłem, by dać mi to na piśmie. Ociągając się bardzo wziął ołówek i wypisał swoje żądania na kartce, którą miał pod ręką, nie chciał jej jednak podpisać. Niemniej jednak było to jego własnoręczne pismo, mimo że napisane ołówkiem i bez podpisu.

Równie łatwo jest rozwiązać organizację jak stłuc naczynie. Nie upłynęło pół dnia, a lokalny rząd wojenny oraz wszyscy pozostający w Kiu-kiangu jego działacze rozproszyli się. Tylko czterej ludzie tego wieczoru postanowili przedzierać się wspólnie do Nanczangu.

Kim byli ci czterej ludzie?

Byli to Li I-meng, Jang Han-szeng, Mei Kung-pin i ja. I-meng pełnił obowiązki pierwszego sekretarza wydziału politycznego. Hang-szeng i Kung-pin należeli prawdopodobnie do wydziałów politycznych Czwartej i Jedenastej Armii. Nie pamiętam jednak dokładnie jakie zajmowali stanowiska. Zebraliśmy się o szóstej po południu; oprócz nas było jeszcze dwóch żołnierzy, z których jeden był ordynansem I-menga, drugi moim. Nazwisk tych żołnierzy nie mogłem sobie przypomnieć.

Obowiązywało wówczas bardzo surowe prawo wojenne. O szóstej na ulicy było już bardzo mało przechodniów, nie mówiąc już o pojazdach. Co kilkadziesiąt kroków stały patrole, żołnierze mieli bagnety nałożone na karabiny, jakby w oczekiwaniu wroga. Byliśmy ubrani po dawnemu w mundury, nie ściemniło się jeszcze zupełnie, mogliśmy więc iść bez przeszkód. Dzień był wyjątkowo ciemny, zanim doszliśmy do stacji zapadł już zupełny zmrok. Okrzyki „hasło“ i „odzew“ jeszcze dodawały grozy.

W jednej z uliczek w pobliżu stacji ordynans, który niósł moją walizkę i torbę skórzaną nagle złożył ten bagaż na ziemi, podbiegł do mnie i ze łzami w oczach uklęknął przede mną.

Zdumieni spytaliśmy go, co to ma znaczyć. Z płaczem powiedział: „Proszę mi wybaczyć, ale mam w domu matkę, osiemdziesięcioletnią staruszkę“. Żołnierz ten pochodził z Hupei, przyszedł ze mną z Wuhanu,

wyglądał na dzielnego, nie przypuszczałem, że może być aż tak tchórzliwy. Niewątpliwie myślał, że idziemy na pewną śmierć, że on też będzie musiał zginąć. Głupiec! Nie mógł wcześniej powiedzieć! Dziwiłem się, że oceniając go z pozorów nie potrafiliśmy się zawczasu na nim poznać.

Cóż było robić? Powiedziałem mu, żeby wracał, a nawet podarowałem mu walizkę. Sam wziąłem do ręki tylko torbę.

Ludziom ze stacji winni jesteśmy prawdziwą wdzięczność, zwłaszcza towarzyszom pracującym na kolei. Komunikacja kolejowa była już przerwana, mówiono, że został wysadzony most znajdujący się na południe od Tukiafu. W Kiukiangu pozostały tylko dwie lokomotywy, inne zatrzymano w Nanczangu. Jechać można było tylko drezyną, ale i tak nie mieliśmy gwarancji dotarcia do celu.

Kolejarze odradzali nam jazdę, uważali, że jest bardzo niebezpieczna.

— Chodzą takie plotki mówili, że nie wiadomo, czy w Nanczangu znów nie toczą się walki.

My jednak stanowczo obstawaliśmy przy tym, żeby jechać, poprosiliśmy o przygotowanie drezyn. Zgodzili się.

W czasie „marszu na północ“ kolejarze stworzyli świetną organizację: znali nasze dzieje, z wielką chęcią zgłosili swą pomoc i zapragnęli odwiedzić nas do Nanczangu. Drezyna była drewnianym kwadratowym wózkiem, na czterech kołach, na wierzchu znajdowała się poprzecznie umieszczona długa ławka z wysoką poręczą, mogło tu usiąść trzech ludzi. Kolejarze stali z tyłu oparci o ławkę, nacisnęli pedały i drezyna ruszyła.

Razem z bagażami zajęliśmy dwie drezyny. Ja z I-mengiem i jego ordynansem jechaliśmy w jednej, Ju-szeng i Kung-pin w drugiej. Każdą poruszało dwóch ludzi; nie odczuwało się wielkiej różnicy w szybkości w porównaniu z biegiem pociągu.

Noc była ciemna, bez gwiazd i księżyca. Oprócz lamp elektrycznych stacji, z której wyruszyliśmy, w czasie drogi wśród ciemnej gęstwiny zarośli z rzadka tylko błyskały światełka chłopskich chat. Były one jakieś dobre i przyjazne, jak oczy kogoś bliskiego. Wszędzie wzdłuż drogi stały warty; co jakiś czas rozlegały się wołania „hasło“ i „odzew“ a ponadto dochodził odgłos strzałów.

Kolejarze już byli bardzo strudzeni. Podzielili się na grupy, z których każda miała prowadzić drezynę dwadzieścia do trzydziestu minut, po czym zastępowała ją inna grupa. Wówczas — wcale niekoniecznie musiała to być stacja — kolejarze zatrzymywali drezynę i wystarczyło krzyknąć w ciemność, a w odpowiedzi rozlegały się głosy: to ludzie z lampami w rękach przychodzili na zmianę. Usłyszawszy nasze dzieje nowo-przybyli z całą odwagą godzili się wieść nas dalej. W ciągu drogi wymieniali się w ten sposób wielokrotnie. Podczas głębokiej nocy, kiedy po-

winno się spać, wykonywali nadobowiązkową pracę i nie usłyszeliśmy od nich ani jednego słowa niezadowolenia. Doprawdy, zasłużyli sobie na wdzięczność z naszej strony.

Bez przerwy posuwaliśmy się naprzód, to prując łagodne powietrze nocy, to znów jadąc pod wiatr i odczuwając przenikliwe zimno.

Gdy dojeżdżaliśmy do Teanu przeszło już pół nocy, zbliżała się godzina pierwsza. Peron dworca wzdłuż i wszerz zavalony był skrzyniami towarów, zapewne ktoś musiał tego pilnować. Żołnierze z peronu, mimo iż otrzymali odzew, stanowczo żądali zatrzymania drezyny, nie pozwalając nam jechać dalej. Niebawem nadszedł jakiś mały, zwinny człowieczek. Z pierwszego rzutu oka wiedzieliśmy, że to Kantończyk. Warta zasalutowała mu, tytułując go kapitanem.

— Jestem przedstawicielem partii — odezwałem się do niego — otrzymałem polecenie dowódcy, w bardzo pilnej sprawie muszę się jak najśpieszniej dostać do Nanczangu.

Odpowiedział z obojętnym wyrazem twarzy, mieszając wiele słów kantońskich.

— Mowy nie ma! Nawet dowódcy byśmy nie puścili. Trzeba mieć najpierw pozwolenie komendanta.

— Czy komendant jest na stacji?

— Nie. Jest w Teanie.

— Czy dziś w nocy można go zawiadomić?

— Nie można. Jutro rano pójdę z wami.

Nie wstydząc się zupełnie, że jest podręcznym oficera „żelaznej armii“, stanowczo wypowiedział tych kilka zdań i samotnie udał się na stację.

Wśród żołnierzy było również kilku mówiących dialektem Syczuanu, jeden z nich współczując nam i uspokajając nas powiedział:

— Tean jest ostatnią linią obronną frontu, nie łatwo stąd się wydostać. Zapewne o dziesięć li dalej można natknąć się na patrol. Jeżeli, przypuścimy, wydostaniecie się stąd, to tam znowu nie będziecie mogli przejść.

— Jak się nazywa wasz komendant?

— C z a n g. Tak samo jak dowódca.

Cholera. Zaczynam podejrzewać, że z tym Czangiem jeszcze trudniej się dogadać niż z tamtym. Obawiam się, że Czang Fa-kuei złapał nas w pułapkę. W oczy udał ludzkie uczucia, a za plecami przygotował zasadzkę, by uniemożliwić wydostanie się stamtąd. Ale cóż było robić? Jechać dalej nie można, zdaje się, że naprawdę i samego dowódcy też by nie przepuszczono. Postanowiliśmy spędzić zatem noc na stacji. Kolejjarze okazali się prawdziwymi przyjaciółmi, chcieli byśmy poszli z nimi szu-

kać jakiegoś noclegu, podziękowaliśmy im jednak. We czterech z ordynansem przedrzemaliśmy pół nocy w dreźnie.

Tean oddalone od stacji pięć do sześciu li, leżało na wschód od linii kolejowej. Nazajutrz mniej więcej o ósmej godzinie wybraliśmy się do kantońskiego komendanta, by otrzymać jego pozwolenie. Ordynansa zostawiliśmy na dworcu, każąc mu pilnować rzeczy, i we czterech udaliśmy się do komendy.

Komendant stacji nie towarzyszył nam osobiście, lecz wysłał dwóch żołnierzy, którzy konwojowali nas z bagnetami nałożonymi na karabiny. Byliśmy pewni, że musiał porozumieć się przez ten czas z kantońskim komendantem przez telefon i otrzymał zapewne tego rodzaju rozkaz. Zgodnie z regulaminem wojskowym przedstawiciel Partii równał się rangą głównodowodzącemu i sprawował kontrolę nad wojskiem. Według protokołu komendant powinien był sam wyjść na stację na powitanie. Ale teraz, gdy nastąpił rozłam wewnętrzny, przedstawiciel Partii w rzeczywistości równał się prostemu komuniście, a zatem najstosowniej było wysłać dwóch uzbrojonych żołnierzy dla eskorty.

Dzień był piękny, szliśmy do Tean przez zalane słońcem pola słodkich bulw.

Kwatera komendanta mieściła się w gmachu szkoły. Żołnierze wprowadzili nas do klasy, która służyła komendantowi za biuro a jednocześnie sypialnię. Teraz leżał on na łóżku polowym ustawionym pod tablicą. Ujrzawszy nas usiłował się podnieść. Jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że jest ciężko chory. Prosiliśmy, by się nie krepował, on jednak podniósł się do pozycji półleżącej, a nam wskazał miejsca na najbliższej ławce.

Pochodzi z Kuangtungu. Mówił, że zaraził się febrą. Jego wygląd to potwierdzał: twarz miał wychudłą i szerniałą. Sądziłem, że musi mnie znać, ale ja go sobie nie przypominałem.

Wyłuszczyłem mu o co chodzi, oraz pokazałem mu pismo Czang Fa-kueia.

To ważna i poufna sprawa — powiedziałem — dlatego właśnie pisał ołówkiem i bez podpisu. Zapewne jednak poznaje pan charakter pisma dowódcy.

Komendant nie robił trudności, wyraził tylko obawę, że nie łatwo będzie nam dotrzeć do Nanczangu, słyszał bowiem, że szyny kolejowe są wysadzone w kilku miejscach, nie ma więc mowy o jeździe pociągiem, ale jednocześnie rozkazał jednemu z oficerów swego sztabu, który znajdował się razem z nami w klasie, przygotować odpowiednią przepustkę. Napisał „zezwalamy na przepuszczenie czterech oficerów tych a tych oraz jednego

ordynansa". Otrzymaliśmy więc pozwolenie na podjęcie ostatniej, najtrudniejszej części drogi.

Po czym komendant szczerze dodał:

— Nikt z nas nie może pojąć dlaczego sami chcą walczyć ze swoimi?

Nie zrozumieliśmy dokładnie o co mu chodzi, więc nie odzywaliśmy się. Ja tylko powiedziałem:

— Na pewno nie złączą walki, niech pan będzie spokojny. Czy w Komitecie Rewolucyjnym w Nanczangu nie ma Czang Fa-kueia? Oni występują tylko przeciwko Czang Kai-szekowi i Wang Tsing-weiowi, a nie przeciwko Czang Fa-kueiowi. Wszyscy mają nadzieję, że wrócą wkrótce do Kuangtungu, może jeszcze się tam spotkamy.

Tak więc pożegnaliśmy się i wróciliśmy tą samą drogą na stację. Byłem bardzo rad z własnej przezorności, okazanej w czasie rozmowy z Czang Fa-kueiem, gdy zażądałem, by spisał swoje polecenia, w przeciwnym razie nie uniknęlibyśmy komplikacji i nie wiadomo, czy nie narazilibyśmy się nagle na jakieś niebezpieczeństwo.

Przybywszy na stację, wsiedliśmy natychmiast do drezyny. Po ujechaniu jakichś dziesięciu li natknęliśmy się na patrol, który po sprawdzeniu przepustki nie robił nam żadnych trudności i pozwolił jechać dalej.

Co to była za radość! Gdy przejedziemy tę granicę, znajdziemy się na naszej własnej ziemi. Słońce świeciło jakoś szczególnie jasno, południowy wiatr powiewał jakoś szczególnie łagodnie, zieleń była jakoś szczególnie pociągająca. Dwa pasma szyn lśniły srebrzystym blaskiem, zdawało się, że specjalnie dla nas zostały ułożone. Szybko i bez przeszkód będą nas wiozły do radosnej ziemi rewolucji.

Towarzysze nasi zaczęli jechać bardzo prędko — z obu stron nieprzerwanie uciekały lasy i drzewa. Ziemia rozciągająca się przed oczyma była pełna życia, wszystko się śmiało, wszystko pędziło przy dźwiękach świszczącego wiatru.

Niekiedy dawaliśmy naszym towarzyszom wypocząć na ławce i wzięliśmy ich sami. Wszyscy byli swoi, o wszystkim można było mówić, nie musieliśmy uważać na słowa.

Drezyna, w której siedzieliśmy z I-mengiem, jechała pierwsza. Nie odczuwaliśmy szybkiego obrotu kół, nie czuliśmy też tego, że było to skutkiem wzmożonego ludzkiego wysiłku. Mknęliśmy coraz prędzej naprzód. Ju-szeng i Kung-pin jechali w drugiej drezynie. Oni także od czasu do czasu pomagali swoim towarzyszom w robocie, jednak nie mogli nas dogonić, pozostawali daleko w tyle, aż wreszcie zniknęli nam z oczu.

Jazda w takiej drezynie jest bardzo wygodna. Już drugi raz podróżowałem w ten sposób, pierwszy raz jechałem z Sinjangu do Sinczengu,

aby dodać otuchy walczącym na froncie. Był wtedy początek czerwca, jujuby zaczynały właśnie kwitnąć, na równinie Honanu jest ich bardzo wiele. Drezyna przemykała się między zagajnikami jujubowymi, a wszędzie jak okiem sięgnąć widać było ich kwiaty wypełniające wszystko zapachem. Niezapomniane wrażenie.

Wspomnienia te były we mnie żywe, gdy dojeżdżaliśmy do Tukiafu i odezwałem się do I-menga, w mym głosie poprzez radość przebijało lekkie niezadowolenie.

— Krajobraz w Kiangsi jest monotony, taki sam, jak nad Jangtse-kiangiem, ale mam nadzieję, że wydarzy się coś, co urozmaici trochę naszą wyprawę.

Na łatwej drodze nawet marzenia się spełniają.

Na stacji w Tukiafu doznałem przeżyć, które dziś jeszcze stoją mi przed oczyma.

Tukiafu jest dużą stacją na linii Nanczang-Kiukiang i ważnym punktem strategicznym, ponieważ otacza je pierścień wód i zarówno od południa, jak i północy pociąg musiał przejeżdżać po żelaznym moście.

Kiedy w czasie „marszu na północ” toczono w Kiangsi walki z Sun Czuan-g-fangiem, rozmieścił on tutaj swoje najważniejsze oddziały i stworzył ośrodek kolejowy łączący Nanczang z Kukiangiem. Zdobycie Tukiafu kosztowało wtedy wiele wysiłków.

Kiedy przybyliśmy do Tukiafu, nie przestraszyły nas zniszczenia z okresu walk zeszłorocznych; prawdę mówiąc na stacji tych zniszczeń wcale nie widzieliśmy. Było tam jednak coś, co nas — w każdym razie mnie — przestraszyło. Na peronie ujrzelśmy pociąg złożony z trzech wagonów pełnych żołnierzy. Dokoła tłoczyło się również wielu żołnierzy tylko częściowo umundurowanych. Lokomotywa zwrócona w stronę Kiukiangu buchała iskrami i dymem.

— Co to znaczy — zaniepokoiłem się — czyżby pociągi mogły już jeździć?

Wprawdzie nie dojechaliśmy jeszcze tam, gdzie miała nastąpić zmiana kolejarzy, chciałem jednak, by zatrzymano drezynę. Poszedłem poszukać zawiadowcy stacji. Stał właśnie na peronie, zapytałem go, co to za pociąg.

Mówił, że nie bardzo się orientuje, a pociąg przyjechał z Wusingu, musi nabrać wody i węgla i odejdzie do Kiukiangu.

— Przecież most jest wysadzony?

— Sądząc z tego, co się dzieje, chyba nie. Jakże inaczej mógłby być przejechać?

Sytuacja była jasna. Pomyślałem, że nie powinno się pozwolić, by ten pociąg odjechał do Kiukiangu. Jeżeli pojedzie tam, czyż nie zyskają oni dodatkowo lokomotywy i trzech wagonów? Ponadto istotnie mostu nie

zniszczono i każdej chwili można było zacząć transport wojsk. Powiedziałem więc zawiadowcy stacji, by nie wypuszczał pociągu.

Rozproszeni po peronie żołnierze przyglądali mi się, gdy rozmawiałem z zawiadowcą, niektórzy podeszli nawet blisko, kilku z nich nie miało odznak wojskowych, widocznie byli z oddziałów T e n g T s i n a i C z u P e i - t e, rozbrojonych w Nanczangu. Zobaczywszy mój mundur zaczęli się domyślać, że jestem z tamtych stron. Niektórzy wołali na mnie „pułkownik“ i o coś mnie zapytywali. Mówili dialektem hunajskim, nie mogłem ich dokładnie zrozumieć.

Poszedłem do biura zawiadowcy stacji, żeby zatelefonować. Było bardzo gorąco, zdjąłem pas i kurtkę i złożyłem na łóżku, które tam stało. U paska od spodni miałem przewieszony browning.

Porozumiałem się telefonicznie ze stacją Wusing. Chciałem, by zawiadomiono Ho Lunga i Je Tinga w Nanczangu, że przybyłem do Tukiafu. Miałem nadzieję, że to zwróci ich uwagę na połączenie kolejowe, i że jeśli trzeba je będzie przerwać, zrobią to dokładnie.

W czasie, gdy telefonowałem, za oknem zebrało się kilku żołnierzy, przysłuchiwali się rozmowie, domyślili się oczywiście, jakie zajmuję stanowisko i kim jestem.

Telefon nie był wygodnym sposobem porozumienia się, więc wyszedłem, żeby poszukać I-menga, a potem jeszcze raz zadzwonić. Żołnierze doczekawszy się momentu, kiedy wyszedłem na peron, natychmiast otoczyli mnie gromadą. Od razu pojąłem grozę sytuacji. Mój browning był nabity, nie mogłem go jednak użyć do własnej obrony, lecz tylko strzec, by mi go ktoś nie odebrał. Oburącz mocno przytrzymywałem broń. Rzuciło się na mnie około dwudziestu żołnierzy, jedni wrzeszczeli, inni wygrażali w milczeniu, jeszcze inni usiłowali wyrwać mi browning, niektórzy wreszcie chcieli odebrać mi mój ręczny zegarek.

Okulary mi spadły, wieczne pióro zostało zrabowane, zegarek mi wydarto, a ja na śmierć i życie broniłem rewolweru. Ściągnęli mnie z peronu na tory. W momencie, gdy leżałem na szynach jeden z żołnierzy cisnął mi w pierś wielkim kamieniem, który znalazł pod ręką, na szczęście był to tylko duży kawał lekkiego żużlu.

Napastnicy chcieli mi przede wszystkim wyrwać rewolwer, wciągnęli mnie więc z powrotem na peron. Dwudziestu ludzi pochwyciło mnie i cisnęło na ziemię. W końcu pas pękł, jeden z nich złapał broń i trzymając ją oburącz zaczął wymachiwać nade mną. Teraz przejęło mnie gwałtowne zimno, trudny do opisu chłód, przenikający do szpiku kości.

Różne wspomnienia ogarnęły mnie w tej chwili: gdy pół roku temu opuszczałem Kuangtung, szerzyła się tam cholera, wlokąc się szosą nan-

kińską widziałem wielu cywilnych i wojskowych umierających po obu stronach drogi — ja jednak nie umarłem.

30 sierpnia w czasie walk pod Wuczangiem razem z jednym z żołnierzy rzuciliśmy się do walki wręcz, Ki Tei-pu zginął za bramą Ping Jang — ja jednak nie zginąłem.

Było to już po zdradzie Czank Kai-szeka kiedy wydał on rozkaz aresztowania mnie, ja jednak otwarcie przybyłem do Nanczangu, więcej nawet, jechałem z członkami Oddziału Wojskowego pociągiem idącym z Su czou do Szanghaju — nie aresztowano mnie wtedy, nie zginąłem.

Kiedy angielskim statkiem wracałem z Szanghaju do Wuhanu pod Nankinem nagle natknąłem się na statek Sun Czuang-fanga. Ostrzelowano się wzajemnie przez wodę, nie pozostawało nic innego do zrobienia jak tylko zatrzymać się na środku rzeki przez pięć dni. Wtedy jednak też nie zginąłem.

Ale nie przewidziałem tego, że dzisiaj przyjdzie mi umrzeć, umrzeć tutaj, w Tukiafu, z rąk tych rozbestwionych, rozbrojonych żołdaków.

Trzeźwa świadomość mówiła mi, że rewolwer nie wart był mego życia, ale dziwne, rewolwer ten nie kosztował mnie życia, a przeciwnie — uratował mi je. W momencie, gdy jeden z żołnierzy wyrwał mi go i uniósł wysoko, cała banda tych, którzy znęcali się nade mną, porzuciła mnie i popędziła, by wydrzeć mu zdobycz. Czy można było przepuścić taką okazję? Wykorzystałem ten moment i uratowałem życie, gdyż natychmiast wymknąłem się ze stacji i pobiegłem w kierunku domów robotniczych. Był tam szereg prostokątnych okien umieszczonych na wysokości piersi człowieka; wszystkie były otwarte. Oparłszy się na rękach przez jedno z nich wskoczyłem do wnętrza.

W pokoju wszędzie pod ścianami stały łóżka, na jednym z nich opartym o północną ścianę, siedziała kobieta w średnim wieku, tuląc do siebie uśpione dziecko. Przestraszyła się, opowiedziałem jej swe dzieje prosząc, by się zachowała cicho.

Wkrótce potem na dworze rozległ się gwizd, słysząc było jak lokomotywa rusza. Zrozumiałem, że zawiadowca został zmuszony do wypuszczenia pociągu. Teraz jednak ja też w żaden sposób nie mogłem temu zapobiec.

Przeczekawszy aż wszystko ucichnie, powoli wyszedłem z robotniczego domku. Dziwne, przedtem potrafiłem wskoczyć przez takie wysokie okno, teraz zaś za każdym krokiem odczuwałem ból. Byłem radosny, ale i boleśnie poturbowany.

Przeszły złe chwile — na peronie zobaczyłem I-menga, Han-szenga i Kung-pina. I-meng też został pobity, zapędzono go do poczekalni i tam

powalono w kąt, ale choć skopany, nie odniósł żadnych poważniejszych obrażeń.

Drezyna Han-szenga nadjechała później, zatrzymała się poza stacją, wtedy właśnie gdy mnie napadnięto. Han-szeng zdołał uniknąć niebezpieczeństwa, ponieważ poszedł na pole za małą potrzebą.

Kung-pina gonili żołnierze, lecz na szczęście, gdy rozległ się gwizd lokomotywy, rzucili się do pociągu.

A co z ordynansem? Przepadł bez śladu. Sprawa ta pozostawiła we mnie na zawsze jakiś ponury osad.

Kiedy na peronie zaczynano się nade mną pastwić, widziałem go w południowym krańcu peronu, chciał strzelać, by pośpieszyć mi z pomocą, ale otoczyła go inna grupa żołnierzy i nie wiem co się stało dalej. Ludzie ze stacji mówili, że wepchnięto go do pociągu. To było prawdopodobne. Ponieważ nie rozległ się ani jeden strzał i na całym peronie nie było widać śladu krwi, przypuszczenie, że wepchnięto go do pociągu, zdawało się uzasadnione. Ale jakie były jego dzieje, tego nie wiemy do dziś.

Nasz młody przyjaciel nie miał jeszcze chyba dwudziestu lat! Poprzednio pracował ze mną i z I-mengiem w Nanczangu; I-meng na pewno pamięta jego nazwisko i wie skąd pochodził, ja natomiast nie przypominam sobie tego. Pamiętam tylko, że nie był jeszcze zupełnie dorosły i mierzył mniej więcej jakieś pięć stóp. Twarz miał jak brzoskwinia, jędrną i zdrową. Dawał się lubić, łobuz. Od tej chwili do dziś nie wiemy nic o jego losach.

Czy zginął wtedy, czy jeszcze żyje? Jeśli zginął, stało się to — prawdę rzekłszy — wyłącznie przez moją lekkomyślność. A jeżeli chciał mnie ratować i odbezpieczając karabin zginął za mnie?

Wszystkie nasze bagaże były rozgrabione, najbardziej żałowałem pamiętnika, który pisałem w czasie Marszu na Północ, poza tym w mojej skórzanej torbie było jeszcze dwadzieścia siedem rewolwerów. Broń ta zamiast stać się bronią ludową, wpadła w ręce reakcjonistów.

W ten sposób jechałem po raz drugi drezyną. W Tukiafu doznaliśmy wrażeń, które nie łatwo zapomnieć, ale czy ich cena nie była jednak zbyt wielka?

Przełożyła z chińskiego
Halina Smisniewicz-Andrzejewska